

TADEUSZ STYCZEŃ SDS

Lublin

*Przewielebnemu  
Prof. Dr. Hab. Albertowi M. Krąpcowi  
w darze i z poczuciem  
niewypłacalnego długu*

## CZŁOWIEK – DROGĄ KOŚCIOŁA\*

### I. „PAPIEŻ-ZAGADKA”

Jak pojąć Papieża, który inauguruje swój pontyfikat ujmującym cały świat manifestem humanizmu: „Człowiek jest drogą Kościoła” i który jednocześnie skierowuje uwagę wszystkich – trzecią już z rzędu trynityczną encykliką – w stronę poszczególnych Osób Boga w Trójcy Jedynej: Ojca (*Dives in misericordia*), Syna (*Redemptor hominis*) i Ducha Świętego (*Dominum et vivificantem*)? Czy jest jeden i ten sam klucz do Papieża – autora „tryptyku trynitarne-ego” i Papieża, którego działanie jest pasmem nie kończących się dowodów na to, że nic, co ludzkie, nie jest mu obce? Jak odgadnąć Papieża, który osobiście biegnie wszędzie tam, gdzie cierpią i umierają ludzie, gdzie dręczy ich jakakolwiek niedola, gdzie nabrzmiewają do dramatycznych rozmiarów problemy pracy ludzkiej, który zjawia się osobiście w sferach nędzy i głodu, w fawelach Brazylii i lepresoriach Afryki, w rejonach ucisku i zniewolenia społecznego, wojen i terroryzmu, by właśnie tam, na miejscu, w centrum tego wszyst-

---

\* Teksty konferencji wygłoszonych w ramach „Mszy za Ojca Świętego” w kościele akademickim KUL, organizowanych przez Instytut Jana Pawła II KUL oraz Duszpasterstwo Akademickie KUL pod hasłem „W oczekiwaniu na wizytę Ojca Świętego w Lublinie” 10, 17, 24 XI 1986 roku.

kiego, jakby na górze piętrzącej się od nie rozwiązanych ludzkich problemów ustawiać ołtarz i... gromadzić i rozmadlać tłumy ludzi wokół Eucharystii – tak jakby mu o to przede wszystkim lub wyłącznie o to chodziło? Czy można jednym i tym samym kluczem ukazać pomost pomiędzy aktywnością Papieża, który z jednej strony tak wiele czasu spędza na modlitwie i w nawoływaniu do niej upatruje istotny element swej apostołskiej posługi i który, z drugiej strony, spala się wręcz w pracy dla innych? Papieża, którego codzienny program to nie kończące się spotkania z ludźmi z całego globu, zarówno te na miejscu w Rzymie jak i te w czasie rozlicznych podróży apostołskich, Papieża, który na kontakty z ludźmi przeznaczają niemal dosłownie czas wszystkich swoich posiłków, a nawet czas przewidziany na nieodzowny wypoczynek? I Papieża, którego wciąż nowe rękopisy zdumiewają tłumaczy watykańskiego Sekretariatu Stanu, a jeszcze bardziej archiwistów strzegących półek zarezerwowanych wyłącznie dla osobistych dzieł następców św. Piotra? Papieża wreszcie, który nie przestaje uczyć się wciąż nowych języków po to właśnie, by bardziej jeszcze poszerzyć i pogłębić możliwości osobistego kontaktowania się z ludźmi? Czy można więc tym samym kluczem odczytywać – użyjmy konkretnie – dokument ukierunkowany tak zdecydowanie na Boga, jak chociażby encyklika o Duchu Świętym: *Dominum et vivificantem* i dokument ukierunkowany tak jednoznacznie na człowieka, jak encyklika o pracy: *Laborem exercens*? Jak odpowiadać na zarzut tych, którzy pomawiają Papieża o antropocentryzm, skoro w uszach brzmi jeszcze zarzut tych, którzy mu wypominają jego teocentryzm?

Jak pojąć Papieża tyłu innych jeszcze paradoksów? Papieża, który zdumiewa świat pochwałą ciała ludzkiego, który w swej „teologii ciała” zdejmuje zasłonę okrywającą jego nagość, by – okiem spojrzenia samego Stwórcy, niejako w blasku poranka stworzenia – ukazać w całym dostojęństwie jego obłubieńczy i rodzicielski zarazem sens, „bycie-dla-całościowego-daru-z-siebie”, i zarazem Papieża, który zraża wielu swym radykalnym pryncypializmem właśnie w etyce seksualnej, głosząc nieodzowność uduchowienia, a nawet przeobstwienia sfery miłości małżeńskiej i konieczność wstrzemięźliwości właśnie w imię afirmacji... ciała! Jak zrozumieć wreszcie Papieża, który sprawę respektowania godności człowieka, jego podmiotowości i samostanowienia, zwłaszcza zaś respektowania godności ludzi pracy, ich wyzwolenia społecznego, ich pełnej, tj. rzeczywistej, a nie pozornej nobilitacji w społeczeństwie i państwie, głosi jako elementarny – i najbardziej palący dziś – wymóg sprawiedliwości, wzywając w jej imię do odważnych reform odnośnych struktur w całym świecie: tym trzecim, tym pierwszym i – oczywiście – tym naszym, zwanym socjalistycznym, i który zdaje się zarazem blokować jedynie skuteczną drogę w tym kierunku, wykluczając zdecydowanie przemoc jako metodę rozwiązywania jakichkolwiek konfliktów międzyludzkich?

Może więc nie powinno aż tak dziwić, gdy po ośmiu latach uważnego przyglądania się temu Papieżowi przez dziennikarzy całego świata, ekspertów podglądania, właśnie z ich kręgu wychodzi dziś diagnoza: „P a p a - e n i g m a” – „P a p i e ż - z a g a d k a”, a więc diagnoza, która jest rezygnacją z diagnozy, jakby aktem kapitulacji z jej stawiania, aktem bezradności w obliczu podjętego zadania. Czego właściwie ten Papież chce? O co mu właściwie chodzi? O jaką rewolucję? Ten Papież nie mieści się im w przygotowanych dla niego z góry schematach, rozsadza je, nie daje się zaklasyfikować, zaskakuje przeciwieństwami, pozostaje po prostu zagadką. Powiadają więc – „enigma”. Lub – „coincidentia oppositorum”.

A przecież próba ukazania myśli przewodniej pontyfikatu Jana Pawła II, nakreślenia głównych linii jego nauczania, próba podjęta z ambicją wyjścia poza samo proste wyliczenie pewnych tematów w stronę wydobycia na jaw wspólnego im korzenia jako zasady ich spójności wewnętrznej, taka próba nie może zrezygnować z jakiegoś rozwiązania tej właśnie zagadki. Ją właśnie trzeba rozszyfrować. Niełatwa to i – chyba – ryzykowna rzecz. Trudno się dziwić, że się nie udaje, że wielu zatrzymuje się na progu nieprzeniknionego, mówiąc: „enigma”. Ale to przecież dobry znak, że ten Papież ich tak niepokoi, że próbują się wdrzeć w jego „tajemnicę”. Próba odgadnięcia Papieża to nie zawsze tylko pospolita ciekawość. Najczęściej kryje się za nią trafne wycucie, że w jego nauczaniu chodzi o coś więcej niż samo tylko przekazywanie określonych, obiektywnie prawdziwych treści, informacji. Działa tu przede wszystkim magnes świadectwa, jego autentyzm. Uwagę przyciąga świadek prawdy – Osoba.

Oto dlaczego uważam, że ta dziwna „diagnoza bez diagnozy”: „Papa-enigma” stawia przed oczy problem, bez którego podjęcia i próby rozwiązania nie można wręcz mówić w sposób rzetelny o „głównych liniach nauczania Jana Pawła II”, nie można nawet powiedzieć, które z tych linii są głównymi liniami. Powiedzieć bowiem, które linie są główne, można tylko wskazując, dlaczego właśnie – przez co – są one główne.

Czy stwierdziwszy to wszystko, nie narażę się na zarzut zarozumiałości i nonszalancji, gdy teraz powiem: Oto poszukiwany klucz do „Papieża-zagadki”, oto klucz do idei przewodniej jego pontyfikatu, klucz do treści i stylu jego nauczania? Wyznam zresztą, że jest mi daleko sympatyczniejszy dziennikarz mówiący „Papa-enigma” niż ten wszystko doskonale wiedzący monopolista od spraw papieskich, gotów każdej chwili do oświecania nie doinformowanych. Przykłady można mnożyć. Mam być jeszcze jednym więcej? Świadom tego wszystkiego, nie taję przecież, że chcę – mimo wszystko – wskazać ten klucz, klucz do zagadki Papieża, i to, jak sądzę, jego własny klucz. Klucz do „c o” i do „j a k” jego nauczania.

Klucz jest prosty: O b j a w i a ć o s o b ę. Lub hasłowo: B a c z n o ś ć! O s o b a! Oto „co” nauczania Jana Pawła II. Zaś „jak” tego nauczania? To „jak” jest pochodną tego właśnie „co” i sprowadza się do objawiania osoby poprzez czyn. Hasłowo: Zobacz, z kim masz do czynienia, mając z sobą i drugim do czynienia, patrząc na siebie i drugich w o k n i e c z y n u! Ale w oknie czyjego, jakiego czynu? Własnego?

Pytanie to musiało tu paść, by w porę ubiec wszelkie nieporozumienia. Oto odpowiedź: mało kto wdarł się głębiej we wnętrze człowieka poprzez wznięk czynu od autora dzieła zatytułowanego *Osoba i czyn*. Lecz autor tego dzieła, obecnie Jan Paweł II, Papież, wskazuje inne jeszcze, nie zrównane wręcz okno dla wglądu w głąb człowieka. Oknem tym jest czyn Boga wobec człowieka. Chodzi tu o o k n o s t w o r z e n i a i O d k u p i e n i a c z ł o w i e k a, zwłaszcza jednak o k n o c z y n u O d k u p i e n i a c z ł o w i e k a p r z e z B o g a - C z ł o w i e k a: J e z u s a C h r y s t u s a. Hasłowo: Patrz na drugiego i siebie samego poprzez Jezusa Chrystusa! Patrz przez Chrystusa! Dopiero ten, kto widzi Chrystusa, widzi samego siebie... Czy nie dlatego, że dopiero widząc Chrystusa dostrzega, jakiego Ojca jest dzieckiem?! Ten Papież nie robi więc właściwie niczego innego, tylko to: prowadzi człowieka pod okno na człowieka, które samo przyszło na świat z wysoka, by człowiek się w nim przejrzał. Z tym „zwierciadłem Papież chodzi po gościńcach świata” i mówi: „Przypatrzcie się sobie! Zobacz siebie!” Trudno się oprzeć myśli, że Papież czyniąc to, pomny jest owych niezwykłych, iście rewolucyjnych słów: „Ogień przyniosłem na ziemię i niczego odtąd nie pragnę, jeno aby był zapalon”. Papież zdaje się mieć jedno tylko pragnienie: wypełnić tamto pragnienie. Pragnienie rozniecenia tego ognia. Chodzi o rewolucję świadectwa na rzecz prawdy o człowieku. „Jam się po to narodził i po tom przyszedł na świat, aby dać świadectwo prawdzie”. Jakiej prawdzie? Prawdzie o kim? Papież wie, że Chrystus to ogień, w którego świetle dopiero człowiek zdolny jest z o b a c z y ć s a m e g o s i e b i e do końca, i zarazem ogień, w którego żarze dopiero człowiek mocen się staje u d ź w i g n ą ć c i ę ż a r s w e j w i e l k o ś c i do końca.

Oto cała tajemnica nauczania tego Papieża, oto zagadka także samego Nauczyciela, zagadka Papieża. Gdzie, u kogo on sam „terminował”? U kogo? Czyż to nie jest po prostu tajemnica samego Jezusa Chrystusa? Czy to nie Boga-Człowieka tajemnica lub – jak kto woli – Jego zagadka? A przecież trudno się tu oprzeć pokusie i nie dorzucić, że do tego „podglądania” człowieka poprzez czyn Boga-Człowieka Jan Paweł II sposobiał się – a raczej sposobiała go sobie Boża Opatrzność – poprzez lata całe czytania człowieka w oknie jego własnego czynu. Przecież to właśnie poprzez „czyn człowieka własny” usiłował na długo, długo przedtem wdrzeć się w głąb człowieka, w „człowieka portret

własny”, autor dzieła *Osoba i czyn*, Karol Wojtyła, przyszedł Papież, by rozbić niejako atom osoby ludzkiej. Może więc i na tej drodze trzeba nam szukać szyfru do zagadki Papieża, Papieża, który nawet gdy zmienia zwierciadło, to tylko ludzkie na to Bosko-ludzkie, zmienia je i wybiera wedle tego samego klucza. Wedle klucza czynu. Od okna własnego czynu człowieka przechodzi do okna czynu Boga-Człowieka wobec człowieka...

Oto dlaczego chciałbym się przy tym jednym temacie zatrzymać, rozwinąć ten oto skrót-klucz: *O b j a w i a ć o s o b ę w c z y n i e*. Będą to zatem wariacje – lub rondo – na ten jeden, niewyczerpany zresztą temat. Temat, o którym nigdy dość. Numquam satis. Temat godny swej passacaglii.

\*

Gdy w lutym 1976 roku Kardynał z Krakowa stanął przed Papieżem Pawłem VI jako rekolekcjonista w Watykanie, powiedział: „Jeden jedyny raz Chrystus zwrócił się do ludzi z prośbą o wsparcie. Była to chwila konania w Getsemani. «Czuwajcie wraz ze Mną!» W owej chwili cała ludzkość w swych przedstawicielach, najbliższych uczniach Chrystusa, stanęła w obliczu niezwykłego wyzwania i szansy, szansy pocieszenia Boga! A przecież ci uczniowie w Ogrodzie to był Kościół w swych pierwszych i najlepszych, wybranych przedstawicielach. Jest tam Piotr, jest Jan, jest Andrzej. I właśnie oni zaprzepaścili tę szansę. Spali. Czy zaprzepaścili ją tylko dla siebie?”

Kardynał mówił tedy do Papieża: „Trzeba dopędzić czas wówczas utracony, trzeba dogonić chwilę utraconą przez ludzi”. Kardynał apelował, by przynajmniej Papież próbował dopędzić szansę bycia wraz z Chrystusem, Bogiem-Człowiekiem, w godzinie zmagania o człowieka, by przynajmniej Papież próbował nadrobić ten „międzyczas”, jaki upłynął od Getsemani do dziś, i by z Kościołem naszych dni próbował... Wybaczcie zwierzenie, ale gdy przeczytałem w Rzymie lakoniczną notatkę o książce dziennikarza o tytule *Papa-enigma*, moja myśl zatrzymała się w tym miejscu, w którym Was w tej chwili ośmielałem się zatrzymać. Czy nie rozpędził się Kardynał z Krakowa ze swym żarliwym apelem, apelem-prośbą do Papieża, by spróbował dopędzić miniony czas i pochwycić szansę z Getsemani, szansę dla ludzi zaprzepaszczonej przez ludzi? Nie przewidział, że jego prośby może kto inny wysłuchać, że sam Chrystus z całą powagą potraktuje apel Kardynała do Papieża i już wkrótce powie: Bądź ty tym papieżem! I próbuj ty dopędzić utraconą w Getsemani szansę bycia ze Mną w moim zmaganiu o człowieka...

A może tutaj leży zagadka tego Papieża? Ale jeśli tak, to czy znowu nie jest ona równie przedziwnie zawiązana co rozwiązana przez samego Chrystusa?

Lecz... jeśli nawet tak, to czy wolno, tym bardziej, nam zostawić tego Papieża – pamiętajmy o jego prośbie z 23 października 1978 roku, wypowiedzianej w czasie spotkania z Polakami z Kardynałem Stefanem Wyszyńskim! – samego w chwilach podejmowania nadludzkich prób dopędzenia dziś szansy utraconej przez ludzi w Getsemani? Czy wolno nam przynajmniej nie próbować być z nim?

Istotnie, zagadka tego Papieża staje się jeszcze bardziej zagadką, im bardziej się nam zdaje, że się przybliżamy do jej rozwiązania. Czy więc ów dziennikarz, który powiedział: „Papież-zagadka” – „Papa-enigma” – nie celował jednak jakoś w sedno sprawy, nawet jeśli nie przebił się do jej najgłębszych poziomów? Gdyż na tych poziomach nieodgadniony jest Bóg w swej pasji, jaką dla Niego jest człowiek, człowiek, którego Bóg pragnie dotknąć ogniem tej pasji, ogniem odkrycia wielkości daru, do jakiego przyjęcia został wezwany... Oto sprawa, dla której się trzusi i którą tak bardzo nas wszystkich zaniepokoić pragnie Ojciec Święty, Jan Paweł II, Papież, ten sam, który tu, w tym kościele akademickim KUL, tyle razy do nas przemawiał... i tyle razy tu pośród nas Chrystusową ofiarę na tym ołtarzu sprawował... To wszystko jest oczywistością faktu. Ale czyż ta oczywistość nie staje się – przez to właśnie – jeszcze bardziej niedoścignioną zagadką?

## II. „TOTUS TUUS”!

*Swoim jestem, gdy jestem Twoim*

Tematem nauczania Jana Pawła II, poniekąd jedynym, jest – jak stwierdziliśmy – o s o b a. Całe jego nauczanie to jakby wprowadzenie i wezwanie do tego jednego: *Zobacz – i b a c z n a – s w ą g o d n o ś ć!* Na swą, czyli na tę, którą odkrywasz wprost, bo wraz z sobą w sobie. Ale i na tę samą, którą odkrywasz poprzez własną i wraz z samym sobą w każdym drugim: godność każdego drugiego. Drugi bowiem to także „ja”, tyle tylko, że nie twe własne, „ja” kogoś innego, lecz przeciwieństwo także „ja”, właśnie to „drugie ja”, *alter ego*. Nie sam przeto, lecz wraz z każdym innym przerastasz cały świat rzeczy, przedmiotów, cały świat „nie-ja”. Zobacz więc prawdę o swej wielkości i – związawszy sam siebie swym własnym tej prawdy poznaniem – przyjmij ją do końca, to znaczy – wybierz ją! Poznaj więc i wybierz! Wybierz każde „ja” w wyborze twego własnego „ja”. Nie dotrzesz – jak widzisz – do samego siebie inaczej jak tylko wraz z każdym drugim. Nie masz szansy skrócenia

drogi do siebie. Chcąc siebie wybrać, trzeba ci wybrać każdego drugiego. Jesteś skazany na solidarność ze wszystkimi – będąc człowiekiem. To wszystko.

Ale tutaj tym uporczywiej staje przed nami pytanie: kim właściwie jestem ja – człowiek? Ja i ten drugi obok mnie, ten właśnie, który ma być „drogą Kościoła” i któremu Jan Paweł II tak bardzo służyć pragnie? Na czym zasadza się ostatecznie ta jego godność? Kogo wybieram, w sobie i drugich, wybierając człowieka? Czy Papieżowi chodzi o osobę ludzką tylko, tylko o człowieka? Czy nie chodzi mu zarazem o pokazanie, kto jeszcze wybrał i dlaczego wybrał i wybiera człowieka? Czyżby nas Papież zamykał w kręgu widzialnego świata? Czy nie chce on pokazać człowieka człowiekowi, objawić mu jego godność, poprzez ów wybór, który zdecydował o tym, że człowiek – każdy z osobna – w ogóle jest? Czy nie chce pokazać człowieka człowiekowi poprzez czyn jego Stwórcy?

W zasięgu bezpośredniego doświadczenia kontaktujemy się niewątpliwie tylko z ludźmi: z osobą własną, z osobami innych ludzi. Lecz już własne przygodne, niekonieczne istnienie objawia nam darmowość naszego istnienia. Nie było mnie, a oto jestem. Nie miałem żadnego wpływu na swe zaistnienie, a jestem. Zatem z d a r u j e s t e m, s k o r o j e s t e m! Z daru więc także jestem t y m, k i m j e s t e m, o s o b ą. Ale z czyjego daru? Swoich tylko rodziców? Jakże często oni wcale nie chcieli mieć tych, których mają jako dzieci. A z drugiej strony jakże często jacyś rodzice bezradnie opłakują śmierć swoich własnych dzieci! Czyż zatem oni dają im bez reszty to, co im jakoś przecież także dają: życie, istnienie, i to osobowe życie, osobowe istnienie? Czy zatem ich własne dzieci są i c h dziećmi przede wszystkim i w najwłaściwszym sensie? Z czyjego więc daru przede wszystkim jestem, skoro jestem?

Jestem i jestem tym, kim jestem, ponieważ obdarza mnie mną wprost i nieprzerwanie aktem miłości stwórczej mój Osobowy Pradawca. Jesteś i jesteś tym, kim jesteś, ponieważ daje ci ciebie wprost i nieustannie aktem miłości stwórczej twój Osobowy Pradawca. Tenże sam, który mi mnie daje w darze miłości. Tylko dlatego więc, że Bóg-Dawca stwórczo mnie we mnie spotyka, jestem. Amor ergo sum. Tylko dlatego, że Bóg cię stwórczo w tobie spotyka, jesteś. Amatus ergo es.

Co więcej, Dawca ten nie może obdarzyć człowieka istnieniem inaczej jak tylko współobdarzając go jednocześnie samym sobą. Bóg nie musi nikogo obdarzyć tym, by zaistniał jako osoba. Ale decydując się na ten dar dla drugiego, nie może go inaczej złożyć jak tylko wraz z samym sobą w darze. Jest więc osobiście w swym darze, owszem, musi być osobiście i nieprzerwanie w swym darze, by dar był darem. A konkretnie, bym był, bym trwał, byś był, byś trwał. Musi On wypełniać bez reszty pojemność każdego z nas – z głębi

udzielanego każdemu bez przerwy istnienia i nadawania mu jego jedyne oblicza, przydzielania każdemu stwórczo jego jedyne niepowtarzalnego „imienia”, byśmy byli i byli tymi, kim jesteśmy – każdy z nas z osobna. Musi być po prostu bardziej we mnie ode mnie, bym istniał. A przecież jestem, odkąd zaistniałem. Musi być bardziej w tobie od ciebie samego, byś był. A przecież jesteś, odkąd zaistniałeś. Więc... „w NIM żyjemy, oddychamy, poruszamy się i jesteśmy”!

Kogo zatem spotykam, spotykając ciebie? W kogo się wpatruję, spoglądając na ciebie? Kogo spotykam, spotykając siebie? Czy nie trzeba nam – każdemu z nas – wyznaczyć z prorokiem: „Pan tu był, a ja nie wiedziałem!”? I dodać: **P a n t u j e s t...!!! B ó g j e s t t u ż!** Z Bogiem mam do czynienia mając z tobą do czynienia! Z Bogiem mam do czynienia mając z sobą do czynienia! **C z ł o w i e k t o t e o f a n i a!** To miejsce szczególne uobecniania się Boga w widzialnym świecie, owszem, **c z ł o w i e k t o m i e j s c e s z c z e g ó l n e g o s a m o - o b j a w i a n i a s i ę O s o b o w e g o B o g a.**

Samo-objawiania się... **k o m u?** Tak, **k o m u i... p o c o?**

Komu? Właśnie **t e m u o t o,** w **k i m** się uobecnia stwórczo i kogo **p o t o** tylko obdarza nim samym, by mu się z głębi jego własnego wnętrza **m ó c o b j a w i ć** i **m ó c s p o t k a ć** go na tej dokładnie drodze, na której go stwórczo jako Dawca stawia. Tak, aby go spotkać, bo przecież nie po to tylko, by go o swej obecności jedynie w nim poinformować. Składanie daru nie jest tylko aktem informacji o darze. Jest **w y z n a n i e m m i ł o ś c i.** I oczekiwaniem... Miłość siebie daje. I czeka na przyjęcie. Jest przede wszystkim prośbą o przyjęcie daru, jest zaproszeniem do osobowej komunii przez złożenie daru i oczekiwaniem na jego przyjęcie...

Cóż to wszystko może znaczyć w obliczu faktu, że człowiek właśnie z daru swego Osobowego Dawcy jest i jest tym, kim jest, osobą? Znaczy to, że Osobowy Pra-Dawca stwarzając mnie właśnie osobą, **o s o b i ś c i e m n i e w z y w a** – mocą faktu obdarowania mnie osobowym bytem! – **d o r o z p o z n a n i a** siebie jako Jego daru i **d o p r z y j ę c i a** siebie od Niego jako Jego daru. Tak **o t o j e s t e m j a k o w e z w a n y** – mocą **p o z n a n i a** faktu, iż z Jego miłości stwórczej jestem i jestem tym, kim jestem – **w e z w a n y d o o b d a r z e n i a** swego Stwórcy przyjęciem samego siebie odeń jako Jego daru, więcej, do obdarzenia samego Dawcy przyjęciem Jego samego w przyjęciu siebie jako Jego daru. Cóż to jednak znaczy? Oto niewiarygodna wręcz – acz rzeczywista – perspektywa, w jakiej Stwórca stawia każdego z nas, stwarzając człowieka osobą: przyjmując siebie samego jako dar swego Stwórcy, stając wobec niezwykłej po prostu możliwości i szansy: możliwości obdarzenia **B o g a B o g i e m!** Boga Bogiem mogę obdarzyć; obda-



rzyć Go tym, kogo przyjmuję, mocą tego, że Go wraz z sobą przyjmuję w darze od Niego. Człowiek może obdarować Boga – podarowanym mu przez Boga – Bogiem!

Czy to nie wymysł? Przypomnijmy sobie zatem: „Kto przyjmuje moje słowo, jest Mi matką”! Kto to powiedział? I co to znaczy: „jest Mi matką” – czy nie: „daje Mi Mnie”? Nie, to zatem nie wymysł. Owszem, to konieczność, owszem, jedyna możliwość, by człowiek w pełni odnalazł samego siebie, by stał się w pełni i do końca samym sobą. Człowiek – postawiony w bycie jako osoba z daru swego Dawcy – spełnić się bowiem może jako człowiek tylko wtedy, gdy wybiere z prawdę o sobie, którą poznałszy jako prawdę o sobie, już sam własnym aktem poznania za prawdę uznał; czyli: spełni się, będzie w pełni sobą, gdy prawdę, że jest z daru – poznałszy – wybierze, czyli gdy obdarzy bez reszty sobą swego Dawcę przyjmując się od Niego i wraz z Nim jako Jego dar. I gdy przyjmując siebie i Jego jako Jego dar – Jego samego przyjęciem tego daru obdarzy: tj. gdy Bogiem Boga i zarazem sobą samym Boga obdarzy! Oto dlaczego Karol Wojtyła – zafascynowany i do głębi przejęty tą właśnie prawdą – powie jako autor dramatu *Promieniowanie ojcostwa*: „Swoim jestem, gdy jestem z wyboru Twóim”, jako zaś Jan Paweł II wyrazi to jeszcze zwięźle i krócej: „Cały Twój” – „Totus Tuus”, „Cała Twoja” – „Tota Tu a”.

Oto także nasz cały ludzki problem. I dramat zarazem: zamienić dar, którym jesteśmy dla siebie z miłości Stwórcy – na nasz dar dla Niego z miłości do Niego. Zamienić początkowe „am ergo sum” – „jestem kochany, więc jestem” na nasze podmiotowe „amo ergo sum” – „kocham, więc jestem”. Poznać, że się jest z daru, i przyjąć ten dar, całkowicie i bez reszty, to jedyna sprawa, o jaką nam warto zabiegać. To także jedyna rzecz, jaką warto i trzeba pomóc drugiemu odkryć i zobaczyć.

Jan Paweł II spała się dla tej jednej sprawy. Cały jego pontyfikat to jakby przedłużenie doświadczenia, któremu dał wyraz już w *Pieśni o blasku wody*, to próba doprowadzenia każdego z nas pod ową źródlaną studnię, przy której oczekuje Chrystus, by przychodzącemu do niej człowiekowi powiedzieć właściwie tylko to jedno: „Obyś poznał, obyś poznała, dar i tego, który ci mówi: «Daj»!”!

Zauważmy: odtąd przestaje się właściwie mówić o Bogu w trzeciej osobie. Tu, przy tej studni przechodzi się na „Ty” z Bogiem, do czego On sam wzywa! Odtąd już się tylko rozmawia z Nim. Nie o Nim. Jak długo mówię tylko o Bogu, jak długo z Nim samym nie rozmawiam, jeszcze właściwie nie znam Boga. Jeszcze Go nie spotkał i nie wybrał. I jeszcze

siebie nie znam. I jeszcze siebie nie spotkał i nie wybrał. „Swoim jestem dopiero, gdy jestem Twoim”. Dopiero gdy On przestaje być dla mnie „On”, dopiero wtedy ja zaczynam odkrywać siebie i być u siebie, gdyż tylko w Nim z wyboru będąc, czyli j e d y n i e w y b i e r a j ą c p r z y n a l e ż n o ś ć d o N i e g o, j e s t e m n a p r a w d ę s o b ą, u s i e b i e i t a k s o b ą. Swoim właśnie.

I... dopiero, gdy On w drugim przestaje być dla mnie tylko „On”, a staje się tym samym „Ty”, którego w sobie spotykam, dopiero drugie „ja” staje się dla mnie naprawdę „ty”. Dopiero wtedy też odkrywam swe prawdziwe miejsce pośród innych, gdy innych odkrywam i przyjmuję jako dzieci tego samego Ojca, jako siostry i braci. Zatem – dopiero gdy zatrzymując się myślą przy Bogu mówię „Ojczy” – i samorzutnie dopowiadam „nasz”, gdy z myślą o siostrach i braciach zapominam o swym dzbanie przy studni i biegnę po innych – jak Samarytanka – do wsi, by odkryli i oni także, wszyscy, co dla nich najcenniejsze, i tak odnaleźli w pełni samych siebie darując siebie Bogu – i Boga – w ten sposób – Bogiem obdarzając, dopiero wówczas jestem swoim, dopiero wówczas wracam do swych własnych źródeł. Dopiero wtedy...

Oto dlaczego Chrystus w słowach tak prostych i tak olśniewających oczywistością powiada: „Matką Mi jest i bratem, siostrą, kto przyjmuje me słowo”. „Jest Mi matką”, czyli: „d a j e M i M n i e w d a r z e”...  
K a ż d y, k a ż d y, k a ż d y.

Któż jednak z ludzi czyni to wspaniałej od Służebnicy Pańskiej, od Oblubienicy Słowa, Sponsa Verbi, od Tej, której *fiat*: „Niech mi się stanie według słowa Twego”, sprawiło, że „Słowo Ciałem się stało i zamieszkało wśród nas”? Trzeba się zatem Jej powierzyć bez reszty, by nauczyć się sztuki daru z siebie dla Boga bez reszty. Jej trzeba siebie samego zawierzyć, by Ona nauczyła nas odnajdywania samych siebie w obliczu Boga, Ojca naszego, i zarazem w obliczu naszych sióstr i braci. Czy nie w Jej szkole Karol Wojtyła, przyszły Jan Paweł II, dochodzi do owego: „Swoim jestem, gdy jestem Twoim”, w którym zawiera się przecież także iście maryjna gotowość służby każdemu, komu daruje się sam Bóg! – Komu służy sam Bóg!? Każdy, kto jest, jest teofanią! Oto dlaczego człowiek musi się stać drogą także Kościoła, skoro... z człowiekiem tak dogłębnie utożsamiał się sam Bóg! Czy inny Kościół byłby Kościołem Chrystusa?

W ustach Jana Pawła II słowa „Totus Tuus” mają dlatego cudownie dwuznaczny sens: Cały jestem Twoim, Boże, oddając Ci się poprzez Tę, która jest Mistrzynią przyjmowania daru Boga i obdarowywania tym przyjęciem nas i Boga: Boga Bogiem i nas Bogiem i także nami samymi. Totus Tuus – Cały Twój – Ojczy nasz! Totus Tuus – Cały Twój Boga-Rodzico i Rodzicielko nasza w Bogu! Tak oto też cały – Siostry i Bracia – Wasz!

Oto do jakiej komunii poprzez dar zaprasza nas wszystkich nieustannie Ojciec Święty, zachęcając nas do wspólnego z nim odmawiania modlitwy „Anioł Pański”, modlitwy, która nie tylko upamiętnia wydarzenie DARU NAD DARY, wydarzenie Wcielenia, lecz także modlitwy, poprzez którą my wciąż na nowo rodzimy się rodząc się w Bogu i z Boga – poprzez Bogarodnicę: darując Mu się przez Nią.

Totus Tuus

Tota Tua...

To modlitwa Ojca Świętego, lecz nie dla Ojca Świętego tylko.

To modlitwa nie dla wybranych

To modlitwa dla każdego

To modlitwa dla wszystkich

To modlitwa dla Ciebie, Siostró i Bracie – I dla mnie!

Swoim jestem, gdy jestem Twoim!

Cała Twoja – Cały Twój

Totus Tuus – Tota Tua!

### III. DLACZEGO BÓG CZŁOWIEKIEM?

*Kim jest człowiek, Panie, że o nim pamiętasz?*

(Psalm 8)

Gdyby u kresu naszej poprzedniej refleksji zadać Szanownym i Drogim moim Słuchaczom pytanie: „Dlaczego?” – skierowane pod adresem Jana Pawła II: „Człowiek jest drogą Kościoła”, to odpowiedź mogłaby wyglądać tak tylko: „Czyż Kościołowi wolno nie pójść śladem Boga, który stwórczo wyszedł na spotkanie człowieka; który po to go właśnie stworzył, by wejść z nim w komunie zainicjowaną darem stworzenia go na swój obraz i podobieństwo, darem więc, który staje się propozycją fascynującej przygody pod adresem człowieka: «Przyjmij samego siebie w darze ode Mnie i... zechciej Mi przez to złożyć dar przyjęcia ofiarowanego ci przeze Mnie dziecięctwa?»” Kościół, który chce być Bogą Kościołem dla ludzi, nie może przecież nie iść śladem miłości Boga Stwórcy, wychodzącego ku każdemu z osobna człowiekowi, od poranku jego własnego stworzenia poczynając! Oto dlaczego nie może dziwić, że Papież głosi: „Człowiek jest drogą Kościoła”. Dziwić by raczej musiało, gdyby Papież tego nie głosił.

Manifestem tym Ojciec Święty staje wraz z całym Kościołem solidarnie w jednym rzędzie z całą szacowną tradycją humanistyczną, która wyraziła się już w antycznym „Jakże cudowną istotą jest człowiek, gdy jest człowiekiem!”, poniekąd nawet w protagorejskim „Człowiek jest miarą wszystkiego” czy w bliższym nam w czasie „Człowiek to brzmi dumnie”. Papież stając w centrum tej tradycji, przekracza ją zarazem nieskończenie, równając człowieka „w górę”, ujawnia Boski jego rodowód. Człowiek bowiem dla niego to przede wszystkim jednak *t e o f a n i a!* To ktoś, k o g o Bóg *in actu et in Persona* stworczy spotyka, i ktoś zarazem, w k i m go osobiście spotyka, by go z głębi jego własnego wnętrza jego własnym niepowtarzalnym imieniem nieprzerwanie przywoływać: „Przyjmij dar, którym jesteś t y o t o przez to właśnie, żeś z mej miłości j e s t!”

Kościółowi nie wolno nie stąpać po śladach człowieka – woła Papież – dopowiadając: skoro sam Bóg stąpa tam, gdzie człowiek stąpa! „Pan tu był!” – przypomnijmy. Stąd też i ziemia, która człowiekowi została dana jako dom i ojczyzna na czas jego wędrówki w stronę wiecznego „twarzą w twarz” ze swym Stwórcą, święta jest. Stąd: „Zdejmij obuwie!” Oto dlaczego pierwszym niejako bezsłownym słowem Papieża skierowanym do ludzi, których przybywa odwiedzić w kraju ich zamieszkania, jest zawsze gest ucałowania ziemi. Ten gest ma im powiedzieć rzecz najważniejszą, do której cała reszta będzie już tylko komentarzem: Idę na spotkanie w Was „żywego obrazu Boga żywego”. „Mężczyzną i niewiastą na swój obraz i podobieństwo stworzył ich...” Papież, który pięciu lat potrzebuje, by nam współczesnym odsłonić rewelacyjny sens tego tylko jednego zdania, wie, co wkłada w gest pocałunku ziemi, ojczyzny ludzi, wie, że być obrazem takiego Pierwoczoru to „non plus ultra” człowieka jako człowieka. Oto jak się zatem wyjaśnia „Człowiek jest drogą Kościoła”. Czyż trzeba nam zatem jeszcze czegoś ponadto? Wydaje się, że nie. A jednak jest coś, co absolutnie nie powinno ująć naszej uwagi.

Kontekst mianowicie, w którym Jan Paweł II umieszcza własny manifest humanizmu, w niczym nie przypomina klimatu, w jakim padają hasła typu „Człowiek to brzmi dumnie”. Jest nim, owszem, pierwsza, programowa więc encyklika pontyfikatu. Ale już sam jej tytuł *Redemptor hominis*, Odkupiciel człowieka, zdaje się jednoznacznie sugerować wszystko inne aniżeli tani zachwyt nad rzeczywistym człowiekiem. Tytuł ten mówi raczej o trosce, owszem, wyraża troskę o człowieka najgłębszą z możliwych. Mówi wszak o tym, j a k a troska jest nieodzowna, więcej, C z y j a troska jest konieczna, by człowieka można było jeszcze uratować, by można go było w ogóle ocalić. Przecież „Redemptor hominis” to nic innego, jak tylko imię własne tej właśnie Troski. To Bóg, który z troski o człowieka sam przy człowieku osobiście staje, owszem, sam człowiekiem się staje, aby dać człowiekowi zagubioną prze-

zeń szansę ocalenia, aby umożliwić mu odcięty przez niego samego powrót do siebie. Jakżeż doskonale odczytuje ten Boży zamysł religijność polskiego ludu, umieszczając w kapliczkach przydrożnych postać Chrystusa fraszobliwego, by witał przechodniów i przemawiał do nich tym właśnie pełnym troski spojrzeniem! Jeśli więc ktoś szuka najkrótszej odpowiedzi na pytanie: Dlaczego Bóg człowiekiem? – oto ona: Troska. Troska Boga o człowieka w postaci Boga-Człowieka, Odkupiciela człowieka.

A zatem rzecz dziwna, osobliwa. Papież dla zadeklarowania swego humanizmu, swego zdumienia nad wielkością człowieka, zdaje się wybierać miejsce jakby najmniej ku temu odpowiednie, miejsce najbardziej dla człowieka wstydlliwe, kompromitujące, miejsce, które ujawnia człowieka raczej jako ubolewania godnego, bo właśnie w stanie, kiedy to on sam z własnego wyboru uwłacza niejako swej własnej godności, w stanie więc, który ujawnia konieczność niewiarygodnej wręcz „ekspedycji ratunkowej”, a zatem w stanie najbardziej odległym od tego wszystkiego, z czego człowiek mógłby być... dumny. Gdzież tu miejsce i pora na humanistyczne deklaracje? Czyżby więc Papież chciał się posłużyć ironią? Zwłaszcza że dzisiaj nikogo bodaj nie potrzeba przekonywać o tragicznej sytuacji człowieka. Zbędne stały się wszelkie zabiegi sztucznego jej dramatyzowania. Że jest beznadziejna – dziś wiedzą to wszyscy, nawet ci, którzy do rozpaczki bronią się przed... Przed czym? Przed uznaniem prawdy o tym, dlaczego ona jest tak tragiczna.

I tu właśnie w tym miejscu, u samego źródła śmiertelnej choroby człowieka Papież zatrzymuje się. Tu próbuje też człowieka zatrzymać. I z tego miejsca ogłasza swój manifest... humanistyczny. Z miejsca, gdzie człowiek staje się ofiarą pokusy, że sobą naprawdę stanie się tylko wbrew Bogu, z delikatnością i cierpliwością Samarytanina Ojciec Święty zdejmuje z człowieka maskę pozorów jego wielkości, maskę wczorajszej iluzji człowieka-autokreatora, iluzji, która zawsze była i zawsze pozostanie – jak była już w... raju – anachronizmem, ale jest nim zwłaszcza dziś. Papież pokazuje, że pycha, bo o nią tu w końcu chodzi, jakkolwiek jest czymś więcej i czymś gorszym niż tylko głupota, jest jednak także szczytem głupoty – i śmieszności – zwłaszcza gdy w samoosłepiającym zadufaniu usiłuje się przyodziać w szaty oświecenia, rozumu i nauki, by także na ich poczet siać dzieło autodestrukcji człowieka. Człowiek bowiem, który pozwolił sobie wmówić, że jego imię zabrzmi dumnie dopiero wtedy, gdy sam zdobędzie moc określania prawdy o sobie, że sam będzie po prostu swej istoty stwórcą, autokreatorem, że sam stworzy „nowego człowieka”, że sam będzie dla siebie darem... darem autokreatora, stanął dziś oko w oko u kresu swych możliwości, w obliczu ostatecznych konsekwencji tego, co sam sobie w darze zaferował. Zrywa owoc posadzonego przez siebie „drzewa wolności” do tworzenia prawdy o sobie. Oto on: lęk samotności wobec pustego

nieba i... przerażenie pośród „piekła drugich”, ludzi-rywali, twórców własnych kolidujących między sobą auto-projektów, występujących bądź w pojedynkę, bądź gromadnie, w blokach, w tzw. strefach wpływów. Uznawszy za jedyną prawdę o sobie wolność do jej ustanawiania, człowiek wyniósł niepostrzeżenie na najwyższy piedestał także moc jej urzeczywistniania, czyli siłę jako prawo wszelkich praw. I czy się nad tym zdążył w porę zastanowić czy nie, proklamował przez to – *nolens volens* – radykalną bezgrzeszność wszelkich możliwych jej zastosowań. Coraz skuteczniej radzi sobie z przerażeniem i z oporem jeszcze „nieoświeconych”. Topnieje ich liczba. Ci zrazu oporni, jeszcze nie rozumiejący „nowego”, niech dojrzeją do uznania, że prawda jest mocą określania prawdy siebie, że jest mocą czynienia siebie i „przebiccia siebie”, że jest (z) tym, (kto) co ma siłę – potem. Trzeba dać czas nie nadążającym!

I oto człowiek – wygrawszy bitwę o samego siebie z „obiektywną prawdą o sobie” i ze swym Stwórcą, bezsilny wobec wyzwolonej przez siebie siły, dławi się dziś bezsensem i beznadzieją w świecie stworzonym dla siebie przez siebie, w świecie b e z p r a w d y i b e z w i n y, w świecie, w którym miejsce prawdy zajęła akceptacja (*consensus*) drugich, a miejsce fałszu brak akceptacji z ich strony.

Cóż myśleć o tym wszystkim? Jaką diagnozę postawić? Czy jej już nie postawiono?

Po obwieszczeniu śmierci Boga człowiek obwieścił swą własną śmierć. Ale nazwał ją – tak samo jak poprzednią – także wyzwoleniem. By jeszcze bardziej prawdę o sobie zakłamać – i uczynić niemożliwym powrót do samego siebie. Jakże można uznać za powrót do siebie drogę, która prowadzi na manowce niewolności, czyli osoby, koniecznościami praw natury?

Czy w tej sytuacji można jeszcze człowiekowi pomóc? Czy można go jeszcze ocalić?

R e d e m p t o r h o m i n i s to odpowiedź na to właśnie pytanie. Odpowiedź, która jest ostateczną próbą Boga u bram wolności człowieka, próbą ocalenia go, wstrząśnięcia nim, „mocą przekonującą Miłości” (Flp 2, 1). Mocą Boga „bogatego w miłosierdzie”, *D i v e s i n m i s e r i c o r d i a*, Boga, który z troski, owszem, z pasji o człowieka „zapomina o sobie” i sam się człowiekiem staje, z nim utożsamia „aż po śmierć krzyżową”, by przez to „swe odejście” objawić mu do końca i udostępnić do końca moc swego ożywiającego Ducha, *S p i r i t u m v i v i f i c a n t e m*, moc zdolną ożywić obumarłego duchowo – samobójczym aktem wyboru nieprawdy – człowieka i tak przywrócić go znowu Bogu i samemu sobie... Ten Duch, dar Syna dla ludzi, który ze swej strony jest darem Ojca dla ludzi, tylko ten Duch: Duch Prawdy, Miłości i Mocy, tylko On jest w stanie być dla człowieka źródłem otuchy i nadziei, „Pocieszycielem” w matni ostatecznej beznadziei, w jaką

człowiek sam siebie zatrzasnął. Tylko On, Duch Prawdy, może być Ożywicielem i Pocieszycielem, gdyż tylko On daje światło samopoznania „p r z e k o n u j ą c o p r a w d z i e i o g r z e c h u” i tylko On daje wraz ze światłem prawdy moc, by tę prawdę wybrać, moc powstania i powrotu do prawdy swego Źródła, do Boga, i do samego siebie.

Trzeba więc przede wszystkim człowieka p r z e k o n a ć o p r a w d z i e i o g r z e c h u. O p r a w d z i e: że nie ma on mocy stwarzania prawdy o sobie. Ma natomiast moc jej odkrywania i moc jej wybierania bądź odrzucenia. Lecz przekonać człowieka o prawdzie znaczy przekonać go także o... g r z e c h u! O sprzeniewierzeniu się prawdzie, zwłaszcza sprzeniewierzeniu się prawdzie o sobie samym, o odrzuceniu oferty przyjęcia siebie jako daru swego Dawcy, a więc przekonać go o samosprzeniewierzeniu i sprzeniewierzeniu się swemu własnemu Stwórcy, Bogu! „W i n i e n e m” nieuznania p(P)rawdy za prawdę dostrzegam tylko na tle: „p(P)rawdę już uznaną za prawdę własnym aktem jej poznania p o w i n i e n i e m uznać także aktami własnego wolnego wyboru!”

Ale czy Papież prowadząc człowieka współczesnego – w imię prawdy o nim samym – do jego najbardziej obolątych i wstydliwych miejsc, może ciągle jeszcze traktować swe oznajmienie „Człowiek jest drogą Kościoła” jako manifest humanizmu? I czy oznajmienie to może zostać przyjęte jako manifest humanistyczny?

Pytanie to nie byłoby może całkiem bezpodstawne, gdyby Papież prowadził człowieka do źródeł jego bólów po to jedynie, by mu tam raz jeszcze pokazać tylko jego własny dramat. Ale Papież idzie do człowieka powalonego swym własnym dramatem po to, by mu jednocześnie oznajmić i wskazać, kto jeszcze pochyla się nad nim bez przerwy w miejscu jego najbardziej głębokiego upadku. Człowiek nie jest tam nigdy sam. Nigdy sam. Papież mówi: Uwierz w to, co wręcz niewiarygodne, lecz rzeczywiste. Przy tobie jest i pochyla się nad twą zranioną wielkością, ciągle pełen zdumienia i respektu dla ciebie – i ciągle przerażająco ci wierny w miłości – Twój Stwórca. Właśnie twój grzech sprawił, że Bóg niejako „wyszedł z siebie” i stanął przy tobie, u drzwi twej wolności oferując ci powrót do samego siebie i do Niego. Twój grzech, twoje sprzeniewierzenie się prawdzie o sobie, nie przestając w niczym być tym, czym jest: winą – twoim dramatem, nie może nie prowokować Boga do tego, by nie „zapomnieć o sobie” i nie stanąć przy tobie. Zbyt cennym dziełem Boga jesteś, zbyt drogi Mu jesteś, by twój własny dramat nie musiał się stać Jego także dramatem, by mógł nie pragnąć uratować zagrożonej w tobie przez siebie twej wielkości. Zagrożenie staje się powodem niezwyklej Jego akcji. Niezwyklej... Pozwala to powiedzieć wręcz coś, co graniczy z herezją: Felix culpa! Szczęśliwa jest wino, któraś sobie zasłużyła na takiego Odkupiciela! O felix

culpa quae meruisti habere talem ac tantum Redemptorem! W celu uratowania ciebie Bóg czyni wyłom w swej własnej tajemnicy, tajemnicy swego własnego życia wewnętrznego. Wyłom ten okaże się bramą, która Mu umożliwi wprowadzenie ciebie, na nowo narodzonego, do samego centrum życia Boga w Trójcy. Twój grzech staje się powodem niezwykłego wydarzenia – to On, sam Bóg, dla ocalenia twego człowieczeństwa stanie przy tobie j a k o c z ł o w i e k . D e u s - h o m o ! B ó g c z ł o w i e k i e m ! Szczyt Samoobjawienia się Boga człowiekowi to następstwo wydarzenia Samooddania się Boga człowiekowi. Oto wydarzenie, stające się przełomową datą w historii Boga, który – będąc wiecznym teraz nie ma historii...

Deus-homo! Bóg człowiekiem! Cóż to jest w końcu, jeśli nie D r o g a B o g a d o c z ł o w i e k a ? ! Taka droga! Droga sprowokowana przez grzech człowieka. Logika każe postawić pytanie: Jakąż wartość przedstawia człowiek w oczach Boga, skoro człowiek nawet w grzechu, owszem, właśnie z powodu grzechu ciągle jeszcze tyle jest wart?! Wart się staje podjęcia takiej próby jego ocalenia, wart takiej drogi!! Wart jest wydarzenia Boga-Człowieka! Wydarzenia, któremu zawdzięczamy możliwość wejścia w głąb tajemnicy samego Boga oraz zobaczenia niejako wprost własnego Pierwowzoru i przejrzenia przez to aż do końca tajemnicy samego człowieka. Jakąż wartość stanowi sam w sobie człowiek, skoro Bóg, Ojciec Przedwieczny, wymierza wartość każdego z nas wartością swego Odwiecznego Syna? Jego wszak posyła do człowieka, aby Mu go – Jego dziecko – ocalił!

Deus-homo jako droga do człowieka ujawnia oczywiście także nie znane dotąd człowiekowi rozmiary jego grzechu, sprzeniewierzenie, skoro aż taka interwencja okazuje się nieodzowna jako współmierna dlań pomoc, jako ratunek. Istotnie, coż bardziej może „przekonać o grzechu”? O tym, jak i jakiej – jak wiernej – miłości względem siebie sprzeniewierzył się człowiek? Cóż bardziej może o tym wszystkim przekonać o d t e j drogi Boga do człowieka: drogi B o g a - C z ł o w i e k a ?

Ale nade wszystko ta sama droga: Bóg człowiekiem – okazuje, j a k w i e l k a j e s t m i ł o ś ć B o g a d o c z ł o w i e k a , pomimo całe jego sprzeniewierzenie, skoro na t a k ą interwencję był gotów. Na taką interwencję miłości w momencie, gdy ona przez człowieka jest odpychana! Cóż może nam zatem bardziej ujawnić Boga jako miłującego Ojca aniżeli sposób, w jaki nam objawił, iż nasz własny dramat stał się Jego osobistym dramatem aż po dar swego Jednorodzonego Syna!? Jak bardzo dramat człowieka okazał się dramatem miłującego Ojca, skoro Jego miłość do człowieka zamienia się w eksplozję miłosierdzia: u bram wolności człowieka apeluje On sam darem swego Uczłowieczonego Syna! P e c c a t o f o r t i u s A m o r ! M i



ł o ś ć o d g r z e c h u p o t ę ż n i e j s z a! Oto sens właściwy słów Chrystusa: „Kto widzi M n i e – O j c a widzi”!

Tak oto człowiek poprzez dar Boga-Człowieka, Jezusa Chrystusa – swego Odkupiciela, rozpoznaje na nowo swego Stwórcę, swego Ojca w darze Jego Jednorodzonego Syna i tak odkrywa sam siebie w zupełnie nowy sposób: widzi na nowo sam siebie. Oto kim jestem, skoro jestem dzieckiem Tego i t a k i e g o Ojca! I – jakiemu Ojcu się sprzeniewierzyłem!

Takiego przesłania o człowieku do człowieka mandatariuszem stał się z zamysłu Trójcy Przenajświętszej Jezus-Chrystus: Bóg-Człowiek – Odkupiciel. Człowiek to – w Chrystusie Jezusie – droga samego Boga w Trójcy Jedynej do... człowieka. Z woli Jezusa Chrystusa, Odkupiciela człowieka, mandatariuszem tego samego przesłania staje się Jego – w tym celu dokładnie ustanowiony przezeń – Kościół. Czy zatem Kościół, chcąc sobą samym pozostać, czyli Chrystusa Kościołem... nie musi wkroczyć na drogę Chrystusa, swego Mistrza? I czy Papieżowi, który jest Chrystusa Namiestnikiem, wolno nie wkroczyć – w ślad za Chrystusem – wraz z całym Kościołem na tę samą drogę: drogę, którą jest człowiek?

Oto dlaczego ten Papież jest nieustannie na wszystkich gościach świata, wszędzie, gdzie tylko można spotkać człowieka. I oto dlaczego ten sam Papież bez końca penetruje – w Jezusie Chrystusie – Pierwowzór człowieka: Boga w Trójcy Jedynej. Enigma? Wszak ten tryptyk: trzy siostrzane encykliki: *Dives in misericordia*, *Redemptor hominis* oraz *Dominum et vivificantem*, ta trylogia Papieża Wojtyły o Bogu w Trójcy Jedynym to i zarazem najcudowniejsza – wdziękiem swej prawdy – pieśń o... człowieku. Czy nie najpiękniejsza, jaką ludzkość usłyszała z ust Piotra? Wdzięk tej pieśni jest wdziękiem najgłębszej prawdy wypowiedzianej ludzkim językiem o człowieku. Cóż więc powiedzieć na koniec, zwłaszcza do tych, którzy z oryginalną tkaniną słowa tej pieśni mogą się zetknąć w ich ojcystym języku, jeśli nie to: *Tolle et lege!* Bierz i czytaj! W tej lekturze będziesz się coraz bardziej przybliżał do objawionej nam z miłości do nas przez samego Boga własnej tajemnicy, odkrywając zarazem – pełen zdumienia – że stąpasz po śladach swej własnej tajemnicy: że widzisz coraz głębiej samego siebie. Swe: *fascinosum et tremendum*.

„Filipie, kto Mnie widzi, widzi i Ojca” – powiada Chrystus do swego ucznia. Jest pewny, że gdy człowiek zobaczy – w Chrystusie – swego Ojca, siebie odkryje. I jeśli nawet odkryje przez to, jak niewiernym jest Jego dzieckiem, odkryje przecież wraz z tym powód do nadziei, zobaczy bowiem, z Kim odtąd będzie dźwigał ciężar swej własnej wielkości... Odkryje, że jest z nim zawsze wiernie Ten, dla Kogo stał się – właśnie przez swą niewierność – drogą w swą własną stronę: Jezus Chrystus. *Redemptor hominis!*

Streszczę nasze rozważanie o „Człowieku – drodze Kościoła” słowami autora *Tajemnicy Jezusa*: „Znajomość Boga bez znajomości własnej nędzy rodzi pychę. Znajomość własnej nędzy bez znajomości Boga rodzi rozpacz. Znajomość Jezusa Chrystusa stanowi pośredek, ponieważ znajdujemy w Nim i Boga, i własną nędzę” (B. Pascal, *Mysli*).

#### IV. ENIGMA CZY TAJEMNICA?

Dopiero w oknie Słowa Bożego Wcielonego, Jezusa Chrystusa Odkupiciela, może więc człowiek zrozumieć do końca: pojąć i przeżyć, swą własną godność. Jest to iście Boska antropologia: Słowo Boże o człowieku wypowiedziane do człowieka przez Boga-Człowieka! Nikt z ludzi nie może pretendować do tego, iż jest jej twórcą. Nie jest ona ludzkim dziełem. Jest ona dziełem Wcielonego Słowa Bożego i dziełem Odkupienia człowieka przez Boga-Człowieka. Ona to właśnie znajduje jedyny w swym rodzaju wyraz, formę i treść w nauczaniu – i świadectwie! – Papieża Wojtyły. Trynitaryczny tryptyk Jana Pawła II – pomysłany jako lekcja zdejmowania zasłony z tajemnicy człowieczeństwa człowieka, obrazu Boga, poprzez wpatrywanie się – w oknie Chrystusa – w odsłaniającą się nam tajemnicę Boga w Trójcy Jedynej, tajemnicę Pierwowzoru człowieka, zdaje się wyjaśniać to, co dla wielu jest zagadką tego Papieża. Czytając Chrystusa, czytając to SŁOWO, Ojciec Święty wznosi się jako teolog i nauczyciel wraz z Chrystusem na szczyty dostępnej człowiekowi *t e o l o g i i*: Duchem Słowa Bożego, Duchem Chrystusa spoczywającego na łonie Ojca, Duchem, który jest zarazem Duchem Ojca, Duchem, który przenika głębokości Boże, tym Duchem wypatruje on tajemnicę *P i e r w o w z o r u* człowieka, by w tymże samym Chrystusie zejść na samo dno tajemnicy człowieka, w centrum *a n t r o p o - l o g i i*, by objawić następnie człowiekowi jego własną tajemnicę „opowiadając” mu, jakiego to Pierwowzoru jest *d a r e m i o b r a z e m*.

Czy jest to teocentryzm? Czy jest to antropocentryzm? W oknie, jakim jest Jezus Chrystus, czyli w Bogu, którego drogą – aż po dramat pasji na Golgocie – jest człowiek, w Bogu, który do końca utożsamia się z człowiekiem, przeciwstawienie takie staje się po prostu nieporozumieniem. Enigma Papieża Wojtyły: teocentryzm czy antropocentryzm? – wyjaśnia się w tajemnicy Chrystusa. W swej *c h r y s t o l o g i i*, można by rzec – w swym *c h r y s t o c e n t r y z m i e*, Autor trzech encyklik o Bogu w Trójcy Jedynym, które są zarazem trójśłowiem o człowieku, żywym obrazie Boga – znosi po prostu

opozycję pomiędzy teocentryzmem i antropocentryzmem, ujawniając jej bezpodstawność. Czyż zresztą wkroczyć wraz z Bogiem na drogę do człowieka z powodu człowieka nie oznacza wybrać Boga w człowieku, by móc wybrać człowieka i przywrócić go samemu sobie? „Swoim jestem, gdy jestem z wyboru Twoim!” Miłość znajduje najoszczędniejsze słowo dla wyrażenia najgłębszej prawdy. Stąd też ten dziennikarz, który powiedział, że Jan Paweł II robi wrażenie sportowca w biegu o pierwsze miejsce dla Boga w człowieku, trafił też w sedno sprawy. Czy nie dlatego, że patrzył sercem?

Stosując takie podejście, Jan Paweł II jako teolog i nauczyciel wiary, a nade wszystko świadek Jezusa Chrystusa, jest przede wszystkim wierny wskazaniu Boskiego Mistrza: „Kto Mnie widzi, widzi i Ojca” (słowa te to zresztą drugi – mniej znany – tytuł encykliki *Dives in misericordia!*), nie przestając być zarazem wierny – jako filozof – metodzie odsłaniania i niejako „podpatrywania” człowieka poprzez jego czyn. Przed oknem czynu Boga wobec człowieka, jakim jest Jezus Chrystus, nie można jednak stanąć jako ślepiec czy analfabeta nie umiejący czytać. Nigdzie bodaj bardziej – aniżeli tutaj – nie znajdują celniejszego zastosowania słowa św. Tomasza: „*Gratia non tollit naturam sed eam supponit et perficit*”. Jedynie ten przeżyje u okna Boga-Człowieka wstrząs samoodkrycia, kto zbliży się doń pod naporem pytań i niepokojów zrodzonych ze spojrzenia w siebie w oknie swego własnego czynu.

Sądzę, że Karol Kardynał Wojtyła pisał *Osobę i czyn* z myślą o tych wszystkich, których chciał możliwie najbliżej podprowadzić pod okno Jezusa Chrystusa, Odkupiciela człowieka. Zamiar ten zdradza sam zresztą już przez wybór znamienitego motta dla swego dzieła. Czy mogło mu wówczas przyjść w ogóle na myśl, że pisząc je przygotowywał przyszłego Papieża Jana Pawła II do napisania tych właśnie i takich encyklik: *Redemptor hominis*, *Dives in misericordia*, *Dominum et vivificantem*? Encyklik, które po prostu musiały zostać napisane, gdy autor *Osoby i czynu* został Papieżem? Kto go więc jeszcze w taki sposób do tego dzieła, do papieskiego nauczania *par excellence*, przygotowywał, skoro encykliki te musiały zostać napisane także – a nawet przede wszystkim – dlatego, by zagubionej dzisiaj ludzkości odślonić drogę powrotu do samej siebie, by jej wskazać jedyne źródło nadziei?

## MAN – THE WAY OF THE CHURCH

## S u m m a r y

The article is an attempt at interpretation of the sentence: „Man is the way of the Church”, included in the encyclical *Redemptor hominis* which presents a programme of John Paul II's pontificate. Man is the way of the Church as he is the way to man-Establisher of the Church, Jesus Christ. And Jesus Christ is God who – to save man's humanity when man proved faithless to himself and to his Creator – becomes a man himself. Since then the answer to the question about the reason of God's way to man, which is characterized by the event of Incarnation (*Verbum caro – Deus homo*): Why did God become a man? (*Cur Deus homo?*) – is at the same time the answer to the question about the sense of the word „way” in the sentence „Man is the way of the Church”. This answer becomes at the same time man's only adequate way to get to know the truth about himself (self-cognition), i.e. giving an answer to the question „Who am I?” This answer is also the only adequate way for the Church to discover its identity: „man has to be the way of the Church” as he is „the way of its Establisher, Jesus Christ”, and as „man cannot be understood without Jesus Christ” (John Paul II).

*Translated by Tadeusz Karłowicz*